

O POWODACH POWSTANIA TEGO TEKSTU

Amerykańskiego fizyka Lewisa Thomasa zapytano o pomysł na ziemskie przesłanie dla obcych cywilizacji: „Wysłałbym wszystkie dzieła Jana Sebastiana Bacha. Z tego naprawdę możemy być dumni”.

Od przeszło ćwierćwiecza słucham jego muzyki, wymieniam płyty ze znajomymi, czytam o Bachu, rozmawiam. I nieprzerwanie błogosławię „ruch muzyki dawnej”, ponieważ bez tej bezkompromisowej odwagi grupki niegdysiejszych obsesjonistów nie byłoby Bacha w takim bogactwie interpretacyjnych wspaniałości. Także o Nich jest ta książka.

Pisać o Bachu - to zadanie bardzo trudne. Aroganckie. Ogrom tematu i skala przytłacza. Historia literatury, historia sztuki malarskiej nie wyróżnia nikogo, do kogo pasowałoby miano największego. Być może – Szekspir, być może – Michał Anioł albo Leonardo. Być może. Ale na pewno – Bach. On jeden musi być nazywany najwybitniejszym kompozytorem w dziejach muzyki - skoro zgodził się na to nawet Beethoven. Nikogo takiego wcześniej nie było i należy przypuszczać, że nikogo takiego już nie będzie. Nie zostałem obdarzony tym czymś w rodzaju (nie)zdrowej bezczelności, która pcha niektórych do zrobienia czegoś, o czym – ze zwykłego strachu i dla świętego spokoju – inni nawet nie pomyślą. W pewne niedzielne popołudnie słuchałem sobie kantat, aż tu nagle - błysk - poczułem tę potrzebę. Była nagle i była bardzo silna. Otworzyłem laptopa i powstało pierwsze zdanko, które kilka chwil później i tak wykasowałem. Napisałem następne, a potem następne. Ruszyło.

Doświadczyłem w swoim życiu kilku bardzo silnych zwątpień. I wtedy zawsze ratował mnie Bach. Nie – Beethoven, nie – Chopin, nie – pieśń

ROZDZIAŁ I

NIEPOKOJE WYCHOWANKA

Zwykłe życie geniusza

Życie Jana Sebastiana Bacha, choć należało do geniusza, uchodzi za życie zwykłe. Christoph Wolff, obecnie największy badacz jego artystycznego dziedzictwa, napisał: „o życiu Bacha możemy stwierdzić, że nie było ono szczególnie ekscytujące i nie nadaje się do przedstawienia w formie narracji osnutej wokół chronologicznej listy dat i wydarzeń”. John Eliot Gardiner ocenił życie Bacha jako „rozczarowująco zwyczajne”; aż tak bardzo, że zachwyceni bezprecedensowym pięknem tej muzyki, jesteśmy skłonni go „deifikować”. Paradygmat romantyczny wyrył w kulturze nowoczesnej swoją definicję artysty na tyle trwale, że Gardiner, w słowie wstępnym do swojej książki, czuł potrzebę, aby podkreślić fakt, że tak pospolity człowiek mógł stworzyć tak niezwykłą sztukę. Dodajmy, że pierwszy cytat pochodzi z biografii Jana Sebastiana, za którą to wspaniałą książkę Wolff był nominowany do nagrody Pulitzera; z kolei książkę Gardinera, która w Anglii stała się bestsellerem, czyta się niczym sensacyjną powieść.

Właśnie ze względu na ten paradoks, w związku z tym bezprecedensowym w historii sztuki rozstrojem pomiędzy zwyczajną codziennością i niepowtarzalną wielkością artystycznego mistrzostwa, uwielbiam czytać także o tym „zwykłym” życiu, o tych niespektakularnych znojach, które zaowocowały powstaniem *Mszy h-moll*, *Pasji Mateuszowej* albo *Wariacji Goldbergowskich*. Fascynujące, że tak wielkie dzieła, myślę, że najznakomitsze, jakie wydała ludzkość!, powstały tak „zwyczajnie”. Każdy szczegół biograficzny, każda nazwa miasta i miasteczka, w jakim Jan Sebastian się pojawił, każda data, roczna, dzienna i miesięczna, każde nazwisko, wroga i sprzymierzeńca - i jednych, i drugich w tym długim życiu było niemało - każdy zachowany drobiazg: kwota rachunku za ekspertyzę organów, rozgąłężenia genealogiczne, jadłospis kolacji, którą Jan Sebastian zażyzył

sobie w gospodzie, wszystko tutaj jest pasjonujące, ponieważ należało do największego artysty w historii świata.

Każde wielkie dzieło sztuki na trwałe odrywa się od autora. Martin Heidegger pisał, że „to właśnie w wielkiej sztuce artysta w porównaniu z dziełem jest czymś nieważnym, bez mała samounicestwiający się w tworzeniu przejściem potrzebnym do wyłonienia dzieła”. Najróżniejsze są metody „samounicestwiania” się na rzecz sztuki. U Bacha polegało to na tym, że uczynił siebie... zwykłym. Owo zwykłe życie Bacha wydaje mi się stokrotnie ciekawsze od którejkolwiek, bez wyjątku, nie tylko kompozytorskiej, biografii romantycznej.

Cech rzemiosł muzycznych

Jan Sebastian Bach urodził się w rodzinie muzycznej i tym samym on także musiał zostać muzykiem. Muzyk tamtego czasu nie był artystą w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, tylko był rzemieślnikiem, a rzemiosło – do dzisiaj tak bywa – najczęściej się dziedziczyło. Gdyby Jan Ambrosius Bach trzymał gospodę lub zajmował się handlem, repertuar Glenna Goulda byłby najpewniej zdecydowanie uboższy. Rzemieślniczy charakter fachu Jana Ambrosiusa Bacha bardzo dobrze oddaje łaciński wyraz „*musicus*”. Nam współczesnym „muzykus” brzmi już tylko pogardliwie, niczym „muzykant”, ale kiedyś obydwa znaczenia konsekwentnie odróżniano. Muzycy byli biegłymi w rzemiośle dostawcami „prac zleconych” - i nikt się na nikogo nie obrażał.

Rzecz jasna można było zostać muzykiem *ex nihilo*, jak to było z Händlem, którego ojciec był cyrulikiem dworskim w Weissenfels, czy na przykład z Salierim, wywodzącym się, co wiemy choćby od Formana, z rodziny kupieckiej. Taki kierunek emancypacyjnej drogi był możliwy. Mało prawdopodobna była okoliczność odwrotna i rzemiosło artystyczne przechodziło z dziada na ojca, z ojca na syna, bez filozofowania, bez kręcenia nosem. Tak będzie jeszcze z Mozartem; ba, tak będzie jeszcze z Beethovenem: ojciec Beethovena, choć głównie znany jako domowy sadysta i notoryczny alkoholik, był także nienajgorszym śpiewakiem dworskim, dlatego również życie Ludwiga miało się kręcić wokół muzyki.

Owa prawidłowość zmieni się dopiero w romantyzmie, który artystów „uniezwykli”, „wywyższy” i „usamodzielni”. Muzycy raz na zawsze przestaną służyć dworskim lub kościelnym panom, przestaną być „na służbie” (młodemu Janowi Sebastianowi zdarzyło się nawet zaistnieć w randze... lokaja). Artystów muzyków, już nie – rzemieślników, utrzymywać zacznie gust mieszczański. Dzieci Beethovena, Schuberta, Brahmsa, Chopina, gdyby je panowie mieli, mogłyby zostać muzykami, choć już wcale nie koniecznie.

Ale Jan Sebastian Bach urodził się jeszcze dobre sto pięćdziesiąt lat wcześniej i ogólny scenariusz jego życia zasądzony został 21 marca 1685 roku. Podobnie jak ojciec, i tylu innych Bachów, miał w przyszłości iść na służbę, jako *musicus faber*. Piotr Wierzbicki nazwał Bacha „koniecznością”, i że w jego muzyce „zbiegają się zgodliwie głosy nieba oraz głosy ziemi” oraz że muzyka Bacha jest zatem „boska”, a tę „boskość Bacha znajduję w tym efekcie osobliwym, że, słuchając, zamiast tylko chłonać spokojnie samo czyste piękno tej muzyki, ewentualnie śledząc też jej wyraz, wpadam nieodmiennie w zachwyt nad jej kunsztem, zdaje on mi się wręcz nadludzkim, i nie ma tu dla mnie najmniejszego znaczenia, że wiem, w jak wielkim stopniu Bachowskie struktury zawdzięczają ową swą nadludzką doskonałość morderczej pracy. Bach jest boski”. A to wszystko, owa „boskość”, raz jeszcze powtórzmy, to wszystko rodziło się w rzemieślniczej zwykłości.

Interes rodzinny

Rodzina Bachów trudniła się muzykowaniem od pokoleń i wyrobiła sobie w tej profesji bardzo dobrą markę. Cała Turyngia, przez dziesiątki lat, kojarzyła dobre muzykowanie z tym jednosylabowym nazwiskiem. Istnieje anegdota, że kiedy w roku 1693 kapela dworska z Arnstadt potrzebowała muzyka, to szukano nie tyle „muzyka”, co bardziej szukano „Bacha”. Mówimy o czasach, kiedy społeczeństwa cywilizacji zachodnioeuropejskiej charakteryzowała naturalna obojętność względem człowieka, a jedynym zabezpieczeniem, jedynym sprzyjającym otoczeniem była rodzina. Jakkolwiek rozumiany humanitaryzm społeczny, ideowy, czy instytucjonalny, choć wydaje nam się oczywisty, nie ma długiej historii. Bez wsparcia rodziny

człowiek ówczesny był białą kartą, którą zapisać optymistyczną treścią, będąc na świecie samemu, było prawie niemożliwe. Jan Sebastian, gdyby postanowił spróbować jakiegoś innego rzemiosła, musiałby zapisywać swoją kartę od początku. Mając przywilej swojego nazwiska – znaczący, będąc pracownikiem, nawet bez daru nadzwyczajnych uzdolnień, mógł uczynić swoje życie spokojnym i znośnym. To nie było mało, ale z drugiej strony – codziennie stawiało się zakład o wszystko.

Historia, o jakiej wiemy cokolwiek, zaczęła się od piekarza Veita Bacha – i to by przeczyło uniwersalizmowi tezy o dziedziczeniu rzemiosła. Ale potem poszło już konsekwentnie, wyłącznie po muzycznej linii. Johann Nicolaus Forkel napisał, że była to rodzina bardzo sobie oddana, nie tylko w wymiarze najbliższego pokrewieństwa. Mimo znacznie ponadprzeciętnej liczebności, nawet jak na ówczesne miary, i skomplikowania genealogicznych rozgałęzień, Bachowie od zawsze stanowili związaną emocjonalnie jedność, choć rozsiani po Turynii, Saksonii i Frankonii. Jesteśmy w stanie wymienić blisko osiemdziesięciu muzyków noszących to nazwisko, a większość z nich to byli organiści. Samych Johannów Christophów w genealogii Bachowskiej znajdujemy ośmiu! Urodzić się w rodzinie Bachów było wielkim szczęściem, ponieważ stanowiło gwarancję bezpieczeństwa egzystencjalnego o wiele pewniejszą od współczesnych nam tak zwanych „systemów socjalnych”. I do pewnego momentu z pewnością tak było, ale nagle – akurat wtedy, kiedy Bach wszedł w dorosłość – nici wiążące miłość rodzinną uległy niespodziewanemu poluzowaniu. Wiemy to od samego Jana Sebastiana, który opowiadał o tym jednemu ze swoich synów, a ten z kolei przekazał to Forkelowi. Zawieszone zostały cykliczne spotkania „integracyjne”, które z każdym pokoleniem gromadziły coraz większą liczbę familiantów. Jak podaje Forkel, podczas tych spotkań biesiadowano, a „ponieważ towarzystwo składało się głównie z kantorów, organistów i muzyków miejskich, zatem każdy miał do czynienia z kościołem, więc w zwyczaju było rozpoczynanie zgromadzeń śpiewem chorału. Od pobożnego początku przechodzili do żartów, nie rzadko odmiennych. Po zdjęciu mankietów śpiewali pieśni ludowe, ładne, a czasem łapczywe, w taki sposób, że różne głosy skrajne stanowiły swego rodzaju harmonię, a teksty w każdym głosie odmienną treść. Nazywali taki rodzaj ekstemporalnej harmonii *Quodlibetem*. Nie tylko

oni cieszyli się z niego całym sercem, lecz także wzbudzali nim ciepły i nieodparty śmiech u obcych. Niektórzy chcieliby uznać te wybryki za początek komicznej, niemieckiej operetki”. Taka to bywała u Bachów rodzinna zabawa w gigantyczną polifonię. Śpiewano utwory religijne, lecz bywało też, jak czytamy - „żartobliwie”, a nawet bywało „łapczywie”.

Nie wiadomo, dlaczego Bachiana skończyły się tak nagle. Być może narracja Forkela, przekazana nam *de facto* z trzeciej ręki, jest po prostu wyidealizowana, zbyt entuzjastyczna, zbyt sprzyjająca rodzinie, która wydała na świat człowieka tak wspaniałego, a którym Forkel był zwyczajnie zafascynowany - i ów entuzjazm kazał mu przemilczeć powód?... Obojętnie jak to naprawdę było, dorosły Jan Sebastian jako jedyny atut niezależny od samego siebie będzie miał nazwisko. Lecz to, przy jego przymiotach naturalnych, i tak nie będzie mało.

Od monady do kimona Ambrosiusa

Ojciec Jana Sebastiana - Ambrosius piął się po szczeblach swojej kariery dzięki rodzinnym znajomościom. Nie on jeden. Także Jan Sebastian będzie im to i owo zawdzięczał. Te znajomości musiały być bardzo znaczące, ponieważ Turynia była na ów czas terenem bardzo pożądanym do robienia karier dworskich i państwowych. Stanowiła bukoliczną enklawę, jakby nietknięta wojną trzydziestoletnią. Redukcja populacji w państewkach niemieckich miała w wyniku tej wojny charakter graniczny dla biologicznego przetrwania: wahała się od dwudziestu pięciu do czterdziestu procent, a bywały tereny jeszcze bardziej doświadczone! Działań wojennych dopełniły trzy ogromne epidemie, które w latach 1626, 1636 i 1643 utrwały niszczące dzieło. O sile ludzkiej biedy świadczyły nierzadkie akty kanibalizmu. Tymczasem demografia Turynii pozostała prawie nienaruszona, co przyniosło skutek w postaci najgęstszego zaludnienia w całej ówczesnej Europie! Do tego jeszcze przecinały się w tym miejscu szlaki handlowe czterech kierunków świata, dzięki czemu gospodarka kwitła w zawrotnym tempie, a wraz z nią – kultura. I to kultura najbardziej twórcza, wyzbyta partykularyzmu, asymilująca wpływy, zwłaszcza śródziemnomorskie. Zyskiwała dzięki temu również muzyka i powstał osobliwie twórczy styl muzyczny - „*stylus mixtus*”. Złapać na tych ziemiach trwałą posadę, czyniło człowieka szczęśliwcem. Aby to osiągnąć, nie wahano się używać jakichkolwiek bądź środków, byle były skuteczne, a korzystanie z koligacji rodzinnych, jak w przypadku Bachów, należało do strategii najpowszechniejszych.

Tak było z angażem Ambrosiusa Bacha na posadę muzyka miejskiego w Eisenach. Niemniej ojciec kompozytora, wiemy o tym z autorytatywnych dokumentów, potrafił odpłacić za zaufanie. W kronikach miejskich można przeczytać pochwalne recenzje o muzyce, której rzekomo w Eisenach dotąd nie słyszano!; a nawet – to również był zaszczyt – zwolniono Ambrosiusa z konieczności płacenia podatku piwnego. Szybko stał się człowiekiem majątnym. Istnieje portret, namalowany prawdopodobnie przez Johanna Davida Herliciusa, który to wizerunek często służy za okładkę albumów płytowych z rejestracjami utworów wokalnych, skomponowanych w rodzinie Bachów. Mam oto przed sobą świetne nagranie motetów Johanna, Johanna